

Od autora: Kolejne sześć stron. Z około dwudziestu.

Czas szybko mija w drodze nad Wisłę. Patrzę z satysfakcją - już nieukrywaną, bom blisko celu - na nierówne chodniki, baby sprzedające z ręki chińskie bluzki, leżących na trawnikach hippisów, trąbiące nieustannie auta. Największe zdumienie przysparza widok ciągnących się w nieskończoność płotów, odgradzających dziesiątki budow od żywej tkanki miasta. Ludzie chodzą po prowizorycznych ścieżkach udających chodniki, a kierowcy w samochodach głupieją od natłoku linii. Białe łączą się z żółtymi, potem uciekają od siebie, wracają, przecinają, aż białe znikają nagle, a żółte biegną samotnie, by na końcu urwać się beładnie. Brak zasad jest duszny i nieakceptowalny dla ułożonej, galicyjskiej głowy.

- Ależ to miasto jest pierdolnięte - wymyka mi się niechcący i natychmiast żałuję. Nie wiadomo skąd pojawia się wielki facet ubrany w biały dres z napisem "L E G I A". Zastawia mi drogę swym monstrualnie tłustym ciałem.

Przechodzę akurat drewnianą kładką nad rozkopanym rowem, uciec nie ma gdzie.

- Jakiś problem? - zapytuje konkretnie.

- Proszę mnie przepuścić! - jęczę. - W czym rzecz? - łagodzę.

Napawa oczy moim strachem. Przysuwa wielką pięść.

- W tym rzecz, że będzie wpierdol, krakusie w ząbek jebany.

Baranieję. Skąd on niby wie, że jestem z Krakowa?

- Co, będziesz się teraz wypierał? - kontynuuje, a ja, póki co, cieszę się, że rozmawia, a nie bije.

- Śpieszę się - mówię w warszawskim narzeczu.

- Będzie szybko.

Jego pięść ląduje na mojej głowie. Nie trafia mnie w nos. Technicznie cios jest źle wyprowadzony, pięść leci za wysoko. Przyjmuję uderzenie w czoło. Mimo tego, wylatuję z kładki lotem parabolicznym i ląduję w rowie.

- Szanuj mordę! - wrzeszczy na odchodne. Znika tak nieoczekiwanie, jak się pojawił.

Rozsmarowuję obite czoło. Spoglądam na siebie i złość mnie ogarnia. Na szyi zauważam wiszący sznur z obwarzankami. Jasna cholera! Wiem skąd! Przypomniałem sobie, że wyszedłem z pociągu, przeszedłem przez peron, wjechałem ruchomymi schodami na wyższy poziom. Tam rozpościerał się szeroki korytarz, pełen przeróżnych sklepików. Miałem wejść do kiosku i kupić plan miasta. Obok wejścia zauważyłem kobietę. Poczciwina sprzedawała obwarzanki. Wzruszony ogromnie, niczym Polak za granicą widzący rodaka pijącego wódkę z gwinta, podbiegłem do niej i kupiłem piękny pęk znajomych smakołyków. Zjadłem kilka, ale nie były smaczne. Sentymalna pułapka załatwywała tanią, marketo-pochodną podróbą. Zaaferowany szukaniem wyjścia z podziemnych labiryntów na słoneczną powierzchnię, kompletnie zapomniałem o nieudanym zakupie.

Osilek nie był ciemną bity, w lot zrozumiał skąd przyjechałem. Byłem jak otwarta księga z której czytał oświecony kibic piłkarski. Równie dobrze mógłbym hasać na lajkoniku i śpiewać "Legia to stara kurwa, lalala!". Zły na siebie wylażę z rowu. Nikt mi oczywiście nie pomaga. Każdy wielce zajęty w tej stolicy. Ponownie staję na kładce, rozglądam się i idę potulnie rozkopanymi ulicami, mijam zwały gliny, piętrzące się niczym barykady powstańców.

Wreszcie docieram nad Wisłę. Jest piękna, szeroka, nie powiem, robi wrażenie. Nie mogę znaleźć pomnika Syrenki, a przecież powinien być blisko, gdzieś na widoku. Pytam się ludzi. Jedni mówią coś o Koper-

niku. To ich interesuje, a nie jakieś syrenki. Parskam śmiechem niegrzecznie. Wszak każde dziecko w przedszkolu wie, że jak Kopernik to w Toruniu. Inni coś bredzą o rynku na Starówce. Wyjaśnijmy sobie raz na zawsze. Jak budynki mają kilkadziesiąt lat nie nazywajmy ich Starówką. I umówmy się, w Polsce jest jeden prawdziwy rynek, na pewno nie w Warszawie! Wiem, że gadają bzdury, Syrenka jest gdzieś nad Wisłą. Wyklejanki z młodości nie kłamią. A poza tym... Toż to pół ryba, pół człowiek. Gdzie ma się podziąć jak nie nad rzeką?

Zniechęcony człapię na Most Świętokrzyski. Smętnie snuję oczami po pylonach, spuszczam wzrok na płynącą Wisłę. Patrzę na życie z perspektywy mostu, aż w końcu staje przede mną widok upragniony, wytęskniony. Dębieję, radośnie chichoczę. Jest! Jest moja Syrenka! Jakaż piękna, dostojna, wielka. Cu-downa! Była przed mostem, a ja nie zauważyłem jej.

Nie zauważyłem, bo... Coś nie gra, coś jest nie tak jak być powinno. Co to ma znaczyć? Spętana, złapana moja Syrenka. W kleszczach absurdu. Wokół Syrenki wyrasta swoisty stelaż z rurek żelaznych, cały teren wokół jest ogrodzony obrzydliwą, falistą blachą. Cisną się słowa niecenzuralne, niegodne krakowiaka, człowieka rozumnego. Pomny wcześniejszych doświadczeń z tubylcami milczę rozsądnie.

Nie sforsuję ogrodzenia, nie przy świetle dziennym. Pozostaje poczekać na sprzymierzeńca w postaci nocy.

Mam sporo czasu, z nudów planuję pójść na osławiony, drugi brzeg Wisły. Wygląda intrygująco, niczym zew przygody. Wabi mnie nieuregulowana plaża, zielone korony drzew i monumentalny koszyk wiklinowy, potocznie ochrzczony jako Narodowy.

Przechadzam się niespiesznie pięknym, wantowym mostem, budzącym skojarzenie z pewnym polskim filmem (jakiś idiomatyczny tytuł). Była tam scena łapiąca za serce, gdy bohaterce kończy się paliwo w samochodzie (kobieca przypadłość) i nieoczekiwanie spotyka ukochanego w strugach deszczu (również kobieca przypadłość, ale występuje tylko w filmach). Przepiękna odsłona reżysersko - operatorska, a przy tym przywołujące wspomnienia. Moje własne.

Pamiętam jak i mnie kiedyś skończyło się paliwo (a jednak nie tylko kobietom się zdarza). Wjeżdżałem przez pomyłkę (cha, cha, taki żarcik z tą pomyłką) od Podwala w Szczepańską, a nagle mój samochód zaczął tracić siły. Kontrolka paliwa paliła się wściekle na czerwono od dawna, lecz nigdy nie przykładałem uwagi do detali technicznych. Udało się wtoczyć na oparach benzyny na Rynek. Bezsilny w starciu z bezdusznymi siłami mechanicznymi stanąłem w okolicach Sukiennic. Gołębie gruchały zajadle, patrol smutnych policjantów zaczął się interesować moim dwunastoletnim, niemieckim pocziwcem na kółkach. Nic to dla mnie nie znaczyło, gdyż dostrzegłem ją. Moją ukochaną! Siedziała na bryczce, w jednej dłoni trzymała bat, w drugiej lejce. Kochałem tę kobietę w białej kamizelce, czarnym kapeluszu, przepiękną i dumną wnuczkę książąt małopolskich, królów polskich. Pobieglem do niej jak szalony, a policja sądziła, że porzucam pojazd i podążyła za mną, a wręcz goniła niczym francuscy żandarmi w komedii z Louisem de Funes. Kątem oka zdążyłem dostrzec, że jakiś skośnooki turysta z przewieszonym przez ramię aparatem fotograficznym, krzyczał na mój samochód. Chyba popsuł mu kompozycję zdjęcia Rynku. Biedny samochodzik tylko kulił się ze wstydu, żałośnie mrugając reflektorami.

Moja najdroższa dostrzegła mnie, trzasnęła batem, machnęła lejcami, "Wio!" krzyknęła. A ja biegłem, biegłem. Z tyłu gwizdek, strzały ostrzegawcze (chyba?), przede mną konie ze spienionymi pyskami. Dobiegłem! Musnąłem koński włos, a następnie silna dłoń w białej, damskiej rękawiczce wychyliła się z bryczki, złapała gwałtownie za płachetek kurtki. Zawisłem nad nawierzchnią, kompletując jej kolorysty-

kę. Zdążyłem potwierdzić naocznie, co czytałem w periodyku uczelnianym AGH, że jasno - szare płyty granitowe przenikały się z "plamami" czarnego płomieniowanego sjenitu. Zostały ułożone w kwadraty o wymiarach czterdzieści i pół centymetra na czterdzieści i pół centymetra. Tego niestety nie udało się potwierdzić, bo nie miałem przy sobie miarki. Zresztą i tak bym nie zdążył dokonać obliczeń, gdyż miłosna siła wciągnęła mnie na skórzane siedzisko. Usiadłem obok mojej ukochanej kobiety. Spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy. Pocałunek przyszedł w momencie, gdy konie tratowały dwóch nadgorliwych funkcjonariuszy. W tle krzyki, trzask kości. Z zawrotną prędkością zniknęliśmy z Rynku. Jaka piękna scena miłosna! Przebiłem Grocholę, Szekspira. Ba! Meg Ryan w każdym filmie!

Skierowaliśmy się najkrótszą drogą w stronę Wisły, pomknęliśmy Bracką, wpadliśmy na Franciszkańską, by wreszcie pędzić szaleńczo Zwierzyniecką wzdłuż Wisły. Stukot kopyt niósł się, aż po Łagiewniki.

Wspomnienia odpływają z mojej głowy. Wracam z żalem do warszawskiej rzeczywistości, na biały most. Patrzę na nurt Wisły, jakaś jego część przy płynęła przecież z Krakowa. Nie tak dawno siedziałem w Krakowie, moczyłem dłón w zimnej toni. Zastanawiam się, czy nie powinienem pójść na brzeg i wyłowić płynny fragment, który dotykałem wtedy? Czy to jest w ogóle możliwe? Pytanie absurdałne, hipotetyczne, męczące, bo bez odpowiedzi. Opuszczam wąski chodnik, skręcam w chaszcze, Tam zaczaję się do wieczora, poczekam na dogodny moment, by odwiedzić syrenkę.

Znalazłem przyjemną polankę. Za plecami szelest drzew, wokoło nierówność traw, przede mną woda. Jest tutaj zdumiewająco cicho jak na dwumilionowe miasto. Matka natura przyjęła mnie gościnnie, już nie czuję się obco. Szalony pęd stolicy gdzieś znika, a jedynym towarzyszem okazuje się rybak czy może wędkarz, nieruchomo siedzący na jednym z cypli. Wędzisko mu w dłoni nie drga, spławik walczy bezzradnie z prądem. Odnoszę wrażenie, że nie o łowienie chodzi, ale o kontemplację bieżącej chwili.

Czas przemija leniwie. Milcząco obserwuję lewy brzeg Wisły. Wieżowce przez długi czas błyszczą w świetle dnia, w końcu nadchodzi wieczór. Zabudowę oblewa gęsta, czerwono-szara maź cieni. Na moich oczach dokonuje się przemiana. Chmury blakną i bezsilnie, bezsłonecznie znikają, oddając przestrzeń nocy. Sztuczne światło włącza się na żądanie punktowo. Czuję, że sam nakreślę nową perspektywę poprzez dziecięcą zabawę w "połącz numerowane kropki". Ślinię ołówek i kreślę linie styczne. Zdziwiony jestem efektem. Pierwszoplanową rolę dostaje Zamek Królewski i chmara małych kamienic z nim. Warszawiaczy nie liczą się z kosztami, zabytkowa, kilkudziesięcioletnia część miasta iluminuje mocno, pocztówkowo.

To prawa strona obrazu. Są inne części, środkowe, lewe. Co ciekawe, nie muszę sam dzielić całości, robią to za mnie prostopadłe linie - mosty, rzucone przez rzekę. Nie integrują się, jak w Krakowie, z widokiem miasta, są negatywną siłą, ostrzem rozpruwającym naciągnięte płótno. Niszczą mój zamysł uspojnienia widoku Warszawy, zaburzają punkty zbieżności i przez nie nawet zamek zamazuje się. Znika, staje się detalem w tle. Tworzy się nijaka, fotograficzna panorama w szerokim kadrze. Zbyt wielka dla mnie, niczym kossakowe Raławice. Rozmach, wielkość i nicość. Kręci mi się w głowie, chcę ratować obraz, włożyć w sensowne ramy, ale widzę za dużo podzbiorów malarskich. Nie odnajduję jedności, nie mam tyle miejsca na sztaludze, by uchwycić miasto.

Jestem zmęczony, oszukany, pragnę czegoś, czemu mogę zaufać. Szukam pomocy w znajomej rzece. Ona płynie przez cały obraz, z lewej strony na prawą, daje możliwości budowania podziałów na plany, wyznacza perspektywę. Oddycham, uspokoiony prostym rozwiązaniem artystycznego problemu. Wisła jest dwubarwna, przeciwstawna. Po mojej stronie brunatna, ciemna, ale po tamtej poddaje się miastu. Po-

zwala wbijać w siebie świetliste szpikulce odbić latarni, okien zacumowanych barek, blask niebezpiecznie wdziera się w toń. Wzrok zatrzymuję na sylwetce wędkarza. Jest teraz prawdziwą czernią, która pochłania światło. On, razem z rzeką, pozwoli namalować mi obraz, skoro sam blask Warszawa nie wystarczył.

cdn.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

alea, dodano 05.02.2015 15:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.